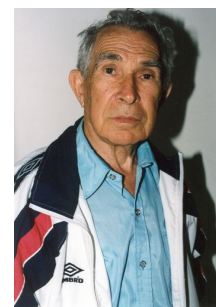


MARIAN MILSZTAJN

ur. 1919; Lublin



Tytuł fragmentu relacji	Dzieciństwo na Błotnikach
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin w dwudziestoleciu międzywojennym, Żydzi w Lublinie, Lublin ulica Błotniki, Fabryka Wyrobów Tytoniowych Krasuckiego, Krasucki, Krasuccy, Parowa Fabryka Wyrobów Tabaczných wybuch II wojny światowej, okupacja niemiecka, Rosja, I wojna światowa, dolina Czechówki, zakład szewski, Lublin ulica Ruska, cerkiew, Lublin dzielnica Kalinowszczyzna, stosunki polsko-żydowskie w Lublinie, Związek Zawodowy Robotników Budowlanych, bazar, targ, targowisko, jatka, Lublin ulica Nadstawną, Lublin dzielnica Czwartek

Dzieciństwo na Błotnikach

Urodziłem się w 1919 roku jako Milsztajn Mosze, potem - Marian. Ojciec był szewcem, matka pracowała z babką w jatce. Do trzeciego roku życia znałem tylko moją dzielnicę - Błotniki. Tego co było za Ruską nie znałem. To było moje królestwo, te parę domków. Rodzina - poniżej średniej. Nie bogata, ale i nie biedna. Matka pracowała z babką, ale córka nie weźmie pieniędzy za to co pomaga matce. Mama była bardziej niewierząca. Święto, święto, koszerne, koszerne. Mleko z mięsem mama nie dawała jeść, ale żeby tak chodzić, modlić się - to nie. Matka się nazywała Fryda Zyserkichen, ale gdybyś powiedział: Fryda Zyserkichen – to nikt by nie wiedział kto to. Za to jak byś powiedział Fryda „z Diabłów” – to każdy by wiedział mniej więcej o kim mowa.

Mieszkałem na ulicy Ruskiej pod numerem 46, potem przeszliśmy do domku babci pod numer 52. Tam mieszkaliśmy do 1934 roku i przenieśliśmy się na Nadstawną pod numer 47 i tam mieszkaliśmy do wybuchu wojny. Błotniki to był koniec dzielnicy żydowskiej, odosobnione zupełnie skupisko, daleko od dzielnicy żydowskiej na owe dziecięce czasy. Bo ćwierć kilometra to masa, dal. Dojść do Ruskiej, gdzie Żydzi mieszkali to trzeba było iść dziecku dziesięć minut. I nie było tam co robić, nie było tam co szukać. Życie nasze koncentrowało się na tym skrawku gdzieśmy się urodzili. Albo uciekało się bawić na te łąki, to było na skraju Błotników. To było nasze, tam nie mieszkał nikt, aż do Siennej to były łąki, kilkaset metrów. Tam była bieda, tam się po prostu umierało z głodu. Mój ojciec był szewcem i warsztat miał w tym domu gdzie mieszkaliśmy. W suterynie był ogromny pokój. On i dwóch pracowników pracowało z nim. On nie był szewcem do przyjmowania obstalunek, ani poprawek, tylko sezonowo robił buty. Przygotowywał latem buty oficerki i całe kamasze na zimę, a pracował całą zimę na letnie połówki, sandały itd. Towar ten był przeznaczony do całego województwa lubelskiego. Przyjeżdżali rokrocznie ci sami kupcy i kłócili się żeby jeszcze jedną parę dostać. I kłócili się: Arie, daj jeszcze jedną parę. Obiecałem komuś. Buty były piękne. Drogie. Mieszkaliśmy w tym samym

pokoju. Tu jeden czeladnik, tu jeden czeladnik, a tu tata. Pomieszczenie było ogromne. Na pierwszym piętrze mieszkała rodzina Fenstermacher. Oni mieli sklep obuwni na Nowej. Ich syn żyje do dziś w Tel Awiwie. Brat, siostra, ojciec i matka zginęli. On jeden został. Na trzecim piętrze mieszkał gospodarz. To było pagórkowate podwórko. Na Ruskiej 52 mieszkała babcia. Ruska 47 - tu mieszkała rodzina - dwóch braci Felerów. To było przyklepione, nie dobudowane, ale prawie z gliny i papieru – mieszkała tam rodzina - dwie siostry z bratem – za Felerami. Ani jeden nie został, tylko Fenstermacher. Ruska 58 – to była ogrodzona parcela z budynkiem. On był hurtownik owoców, skupywał z całego powiatu. Codziennie przyjeżdżali chłopcy z jabłkami, śliwkami. Na targu miał ogromną halę i tam sprzedawał. Pod górą stał budynek z drewna - ubikacja dla wszystkich. Zimą nie można tam było wejść.

W jednym z tych domków na Błotnikach mieszkała rodzina, matka z wieloma dziećmi. Jedna córka była kaleką, suwającą się na czworakach. I ona jak pajak spuszczała się stamtąd i siedziała pod naszym oknem. Mama była w jatce u babci, ja miałem sześć miesięcy, a ojciec położył jej mnie na podołku, a Antosia wyniosła Stasia. I ona nas tak trzymała i żebrała. Ludzie pytali ją czyje to dzieci, ona coś mówiła, ale nikt nie rozumiał jej mowy, bo bełkotała. Tak było przez całe lato. Na drugi rok, już byliśmy więksi, też było tak samo. Ale już siedzieliśmy przy niej, a ona z puszką zbierała te grosiki, żebrała od ludzi, którzy z Kalinowszczyzny szli do miasta – nie masowo, dziennie może kilkanaście ludzi, co jakiś czas furmanka przejechała. Przechodzący, przeważnie to byli Żydzi, pytali się Gitl, kto jest ten czarniutki, a kto jest ten blondynek, ale nic nie rozumieli. Jak mama dowiedziała się, że ona z nami żebrze, to powiedziała, że już mnie nie da. Ale tata mnie wyniósł i dał jej pięć groszy, za to że pilnowała nas. Nazywała się Gitl. Gitl miała już jakieś trzydzieści lat jak się urodziłem. Ona była zupełną kaleką. Skręcona jak pajak. Jej rodzina zajmowała koniec podwórka pod górą [Ruska 46].

W naszej dzielnicy nie było prawosławnych i nie było też chrześcijan. W okolicy dozorstwo sprawowała Antosia. Ona była odpowiedzialna za ten kraik i Błotniki. Antosia była koleżanką mamy od dzieciństwa. Jak podrosły to razem pracowały w fabryce cygar na Krawieckiej. Bardzo zaprzyjaźnione, jak siostry. Jak ojciec wrócił z Rosji w 1917 roku, jak mama go przywiozła rannego z Carycyna [w latach 1925-61 Stalingrad, obecnie Wołgograd] i Antosia wyszła za męża. Tam się urodził Stasiak, a tu Mosiek. Ze Stasiem wychowaliśmy się razem. Antosia mówiła po żydowsku lepiej od mamy, a potem Antoś mówił po żydowsku lepiej ode mnie. Jak był wolny czas, to z koleżką moim Stasiem, bawiliśmy się na podwórku cerkwi, wleźliśmy też do środka. Tam tak pięknie było. Tyle tej miedzi, tyle tych obrazów. Bo w kościele nie byłem. Nie widziałem. Do kościoła nie wolno było wchodzić. Po prostu się nie wchodziło. Z obawy. Gdyby Stasiak lub Antosia Stróżka chodzili do kościoła - zabraliby i mnie, ale nie chodzili do kościoła. Stróżka była jakby wżyta w to państwko żydowskie kości i krwią. Do cerkwi chodziłem chodząc jeszcze do szkoły. Aczkolwiek w chederze wiedzieli, że bywam w cerkwi, a rebi nieraz mówił "Mosze, dlaczego chodzisz tam. To jest inna wiara!" Ale spływało to jak po kaczce woda.

Pod Kalinowszczyzna 5 sam gospodarz robił stróżostwo. To był Żyd. Dalej nie było nic. Pola i łąki. Na Kalinowszczyźnie pod nr 3 też mieszkała jedna rodzina chrześcijańska, też mówili po żydowsku. Nie słyszałem ani jednego słowa po polsku. Nie wiedziałem, że taki język istnieje. O ile istnieje, to wiedziałem, że to jest język goim. Polska? Zielonego pojęcia. Nasze stosunki z chrześcijanami? W jednym wypadku braterskie, cudowne, życzliwe, a z drugiej strony matka bardzo wierząca a syn endeck. Jakieś 200 metrów stąd był browar Vettera, rozlewnia piwa. Druga strona to już Kalinowszczyzna. Kalinowszczyzna 1 – niewysoki dom, piętrowy zdaje się. Kalinowszczyzna 3 to był czteropiętrowy dom. Tam mieszkał Blajechtr z kamieniarni. [Ruska w okolicy ul. Św. Mikołaja] – Ruska 18 – tu mieszkał brat mamy Mordechaj. Tu było duże podwórko

i tu też był Związek Zawodowy Robotników Budowlanych, tam mieszkał Lehrer. On był przewodniczącym tego związku, silną ręką. On był w Kanadzie. Już na pewno nie żyje, bo by miał sto lat. Przy ul. Św. Mikołaja była szkoła. Potem wujek przeniósł się na Ruską 10.

Jatka babci była na rynku [bazarze]. To była specjalna murowana budowla. Tam było jakoś 50 jatek. To były jatki mięsa wołowego. Tutaj - Rуска 46, tu się urodziłem w piwnicy. To był taki dom z podwórkiem, tam kupowaliśmy mleko, u tego krowiarza. Koło cerkwi była szkółka, taka na podwyższeniu. To był trzypiętrowy budynek, a tutaj był dwupiętrowy - to był dom babci, w którym mieszkałem do 1934 roku. Potem przeszliśmy na Nadstawną. Tu było podniesienie i prosta łączka dla dzieci i tu zaczyna się ta wyżyna Czwartek. A tu stało seminarium duchowne. Ja się nie wychowałem z masą żydowskich dzieci, która była na Ruskiej, na Szerokiej, na Lubartowskiej. Mały punkcik, pod Czwartakiem, góra. Dla nas, dla dzieci, to była Góra Synaj. Zimą tam nie można się było dostać, do góry, na Czwartak, wysoka góra, lodowata. Latem – tak. Latem drapaliśmy się na czworakach do góry, żeby się skajklować na dół. Dzisiaj już nie spotkasz... takie dzieciństwo chyba nie istnieje.

Mama miała koleżankę – Antosię. To były koleżanki od urodzenia. Razem się urodziły, wychowały, chodziły do Rosyjskiej szkoły, razem – jeszcze jako panny - pracowały w fabryce cygar na Krawieckiej [w Fabryce Wyrobów Tytoniowych Krasuckiego], aż do odzyskania niepodległości. Potem fabryka została zamknięta. Jak Antosia, na przykład, weszła do mamy, siedziały, piły herbatę i opowiadały historie o cygarach. Rozmawiały o pracy w fabryce. Tak samo wiedziałem, że wuj Szlomo [Pelcman] też pracował w tejże fabryce. Szlomo pobrał się z siostrą mamy [Goldą].

Mama się pobrała z ojcem przed jego pójściem do wojska, czyli gdzieś w 1910 roku - mniej więcej tak to wypada. Poszedł do wojska i chyba był już pożeniony. Bo ojciec odsłużył cztery lata, które miał służyć i wybuchła wojna i pozostał dalej do 1917 roku, czyli od 1910 roku do 1917 roku był na wojnie. Matka, jak wracali z wojny do Polski w 1918, a może jeszcze w 1917, kiedy w Polsce byli Niemcy jeszcze, matka słyszała, że ojciec był ranny w Carycynie [w latach 1925-61 Stalingrad, obecnie Wołgograd]]. Od powracających uciekinierów z armii carskiej - bo część przeszła na stronę rewolucji, a część pozostała carska - Polaków, Żydów, mama dowiedziała się, że ojciec został ranny. Mama przez trzy miesiące wędrowała po Rosji, aż doszła do Carycyna, znalazła ojca w szpitalu i chorego zabrała z powrotem do Lublina. To widocznie mama była pożeniona już gdzieś w 1909 czy 1910 roku z ojcem, a ja się urodziłem w 1919 roku.

Ojciec, jak wrócił, w 1918 roku jako kawalerzysta, to zaraz poszedł na front z bolszewikami, wzięto go do armii. Zabrali go, a ja jeszcze się nie urodziłem. Ja się urodziłem, kiedy ojciec był już na froncie bolszewickim w wojsku polskim. Ojciec przeżył rewolucję w Rosji carskiej. Dywizja ojca przeszła na stronę rewolucji. Ojciec słyszał Trockiego, to widocznie też zostało w jego sercu. Ojciec, na przykład, jak ktoś opowiadał jaki tam jest raj w tym Związku Radzieckim, to ojciec mówił: „Nie, to co ja widziałem, jak mordowano ludzi bogatych, to nie mogą być ludzie dobrzy, to nie mogą być dobrzy ludzie – że zabijać, dlatego że ktoś jest bogaty”. Ojciec był bardzo prawy i wiele, wiele mnie nauczył pod względem moralności. Prostý szewc. Ojciec zawsze mówił: „Świat jest jaki jest. Nie żądaj od nikogo, żeby on był człowiekiem. To nie twój interes. Twój interes, żeby tyś się starał, żebyś ty był człowiekiem”. Wówczas to były dla mnie słowa tylko. Głębi tego nie pojmowałem, ale potem pojąłem.

Nie było Żyda, żeby nie miał przezwiska. I więcej znano człowieka po tym przezwisku niż po imieniu. Na przykład ja: jak nie powiedziałaś: „Mosze Gałech”, to nie wiedzieli kto to jest. „Gałech

” to jest „Ksiądz”. Mama mówiła, że jako dziecko miałem włosy długie, nie obcinano mi ich. I widocznie z tego nazwali mnie „Ksiądz” - dali mi przydomek takie. Na przykład matka, cała rodzina: babka i wszystkie córki i synowie byli znani, jak nie powiedzieli: „Rywy diabeł” [„Z diabłów”] to nie wiedzieli, kto to jest. A babcia miała jatkę, sprzedała kury, gęsi, kaczki. I mama pracowała z babcią. I cała rodzina prawie zajmowała się tym jatkarstwem: trzy córki, jeden syn miał jatkę, mama się zajmowała jatką z babcią. To widocznie to była rodzina, która się poświęciła tym żyć. Stąd to przydomek. Rodzina ojca, bracia ojca, to jak nie mówili: „Lejb Ruwen Kasze”, to nie wiadomo, że to jest mowa o ojcu. Albo wujek Szlomo, jak nie mówiono: „Szlomo Kasze”, albo drugi wujek Pinchas, jak nie mówili: „Pinchas Kasze” to Milsztajn – nikt nie wiedział, to nie było prawie znane. I tak każdy Żyd miał przydomek. Jeden garbus – „Z garbatych”, a czy się nazywał Klejn, czy Grojs, czy Czerniak, czy Zilberman to tego nie wiadomo prawie. Tylko z przydomkami. I to było nasze życie: znane, swoiste.

W 1939 roku, jak Niemcy weszli do Lublina, błagałem rodziców, żeby przejść do Sowiec, którzy stali trzy kilometry od nas. Ponieważ ojciec i matka znali rosyjski język, polskiego języka wcale nie znali, to powiedziałem – chodzimy tutaj, bo grozi nam śmierć. Ojciec by poszedł, ale matka uparła się, że nie. Ona była w 1915 roku z Niemcami w Lublinie i nic strasznego się nie stało i nikogo nie mordowano. Oni zostali w Lublinie i ich nie ma. Ja poszedłem tam i jakoś wróciłem żywy. Miałem siostrę Maszę. Urodziła się w 1922 roku. Była bardzo ładną dziewczynką. Ukończyła szkołę powszechną. O gimnazjum nie było mowy, bo środków nie było na to. I od siostry dostawałem listy do 1941 roku, jak byłem w Rosji w Połtawie.

Data i miejsce nagrania	2000-07-04, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"